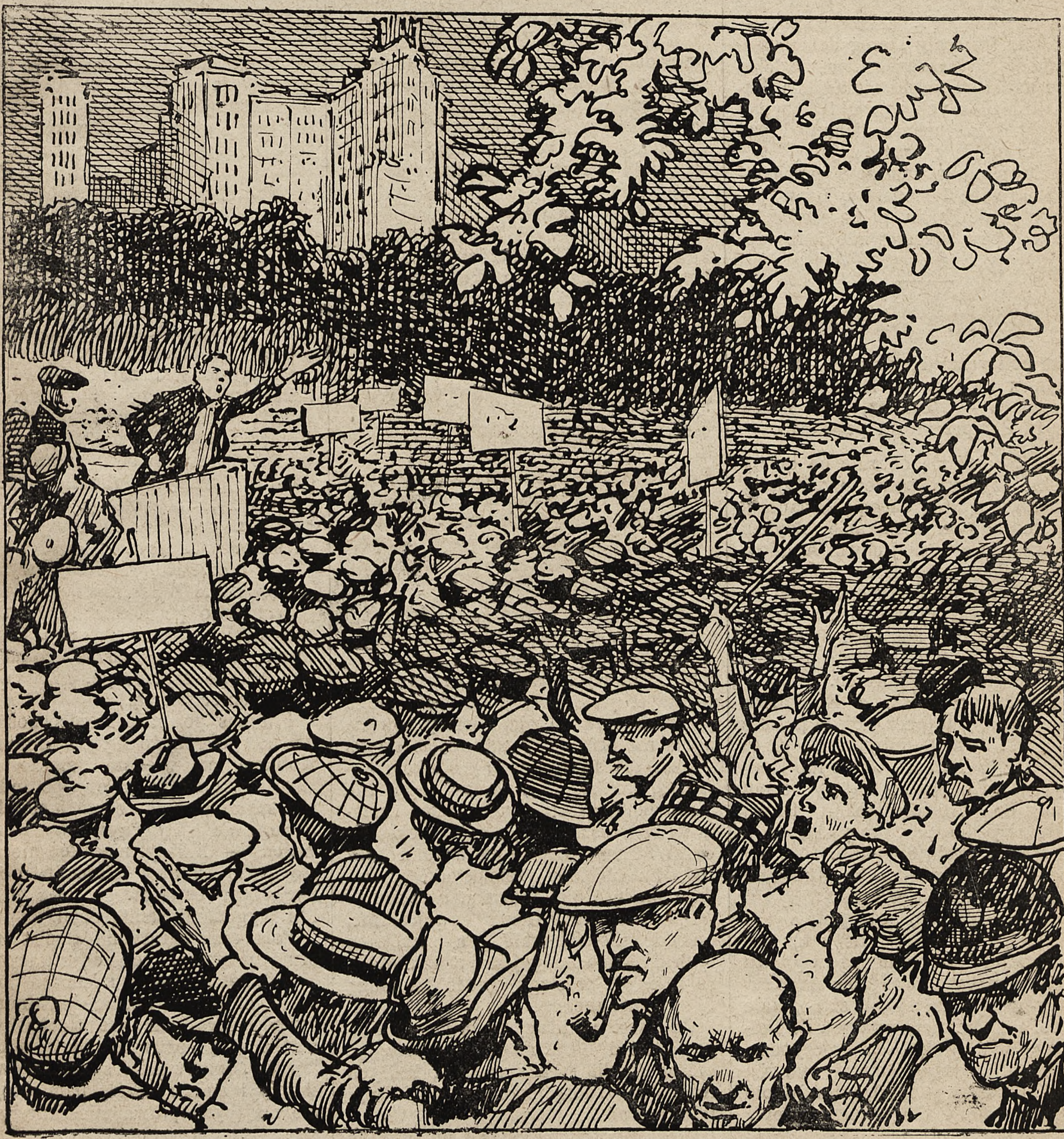
Rok I. Nr. 2. Kraków, 15. października 1919 r. Cena egz. 2 K. (mr. 1·40)

ŻYCIE I POWIEŚĆ

DWUTYGODNIK POWSZECHNY

Prenumerata w Krakowie i na prowincyi wraz z przesyłką pocztową wynosi: kwartalnie K. 12·— (mrk. 8·—), półrocznie K. 24·— (mrk. 16·—), rocznie K. 48·— (mrk. 32·—).

Adres Redakcyi i Admin. „Życia i Powieści": Kraków, Czysta 19. Ogłoszenia do „Życia i Powieści" przyjmuje wyłącznie Biuro wydawnictw i ogłoszeń „Krakus" Kraków, ul. Felicyanek 3.



Demonstracya przeciw paskarzom.

W londyńskim Hyde-Parku przemawia jednocześnie sześćdziesięciu mówców....

(do tekstu na str. 2-ej).

Demonstracya przeciw paskarzom.

(do ryciny tytułowej).

Orgia lichwy i wyzysku szerzy się po całym świecie. Wszędzie spekulanci usiłują wyzyskać braki i niedomagania, wynikłe z długiego trwania wojny, na wyzysku, na nędzy ludzkiej ufundować swoje olbrzymie milionowe fortuny.

Żaden kraj nie jest wolny od lichwiarskiej zarazy, którą zwalczać musi się energicznie, jeżeli się chce ocalić zdrowie społeczeństwa. Najlepiej rozumieją to w Anglii, gdzie wszczął się żywiołowy ruch, skierowany przeciwko podbijaczom cen, przeciwko lichwie towarowej, którą popularnie u nas nazywa się „paskarstwem“. — Urządzono tam cały szereg demonstracyj przeciwko paskarzom, oświadczając, że naród angielski nie zniesie dłużej jarzma niecnych wyzyskiwaczy, opasujących łańcuchem lichwy ludzi, którzy uczciwie z pracy żyją.

Tytułowa nasza ilustracya przedstawia wielki wiec demonstracyjny w londyńskim Hyde-Parku, gdzie sześćdziesięciu mówców przemawiało jednocześnie.

Bogactwa Kaukazu.

Podział polityczny Kaukazu. — Komunikacya z Polską. — Bogactwo rud i surowców. — Kaukaz, jako rynek zbytu dla przemysłu polskiego.

Kaukaz dzieli się obecnie na cztery oddzielne rzyczypospolite: Ormiańską, Gruzińską, Azerbejdżeńską i Kubańską. Na południowym Kaukazie rządzili faktycznie do ostatniej chwili Anglicy, którzy jednak niedawno rozpoczęli ewakuacyę kraju. Anglicy również panują w przeważnej części na Morzu Czarnem, gdzie w ich ręku spoczywa kontrola ruchu pasażerskiego i towarowego w głównych portach.

Komunikacya Polski z Kaukazem obecnie po zajęciu przez wojska polskie Galicyi wschodniej, odbywa się przez Czerniowcę, Bukareszt, Galac lub Konstancyę, skąd odchodzą okręty bezpośrednio do Noworosyjska. Droga z Warszawy do Noworosyjska trwa w ten sposób około 6—7 dni.

Przemysł przetwórczy na Kaukazie nie jest rozwinięty. Natomiast kraj ten obfituje w surowce, szczególnie zaś w ziemiopłody i rudy. Należy też dodać, że wskutek utrudnionego wywozu za granicę, zapasy surowców na Kaukazie są w obecnej chwili szczególnie znaczne. Przedmiotem wywozu do Polski mogą być: wełna, (w rzeczyposp. Kubańskiej zapasy wełny wynoszą około 200 tysięcy pudów), tytoń (około 100 tys. pudów), olej słonecznikowy (około 1,500 tys. pudów), drzewo orzechowe, skóry surowe, garbniki wytwarzane z liści drzewa „Skumbji“, albo „Sumak“, (garbnik ten nadaje się do wyrobu delikatnych skórek) rudy: miedziana i manganowa. W szczególności ruda manganowa znajduje się na Kaukazie w znacznych ilościach i była przed wojną wywożona za granicę: do Holandyi, Anglii i Niemiec. Ruda manganowa kaukazka jest pierwszorzędnego gatunku, bo po przemyciu zawiera do 55 procent czystego manganu.

Kaukaz jest z kolei naturalnym rynkiem zbytu dla wyrobów polskiego przemysłu: cukru, towarów łokciowych, nici, naczyń emaliowanych, wyrobów żelaznych, wyrobów ze szkła itp.

Stosunki handlowe Polski z Kaukazem powinny się ułożyć w przyszłości jaknajpomyślniej. Znakomitą pod tym względem pomoc przemysłowcom i kupcom polskim mogą okazać liczni przedstawiciele inteligencyi polskiej, zamieszkali oddawna na Kaukazie, posiadający tam rozległe znajomości i wpływy i gotowi zawsze służyć swemu krajowi.

Należy też zaznaczyć, że usposobienie szerokich warstw ludności na Kaukazie do Polski i Polaków jest na ogół bardzo przyjazne i tę okoliczność możnaby i należałoby wyzyskać dla utrwalenia sobie rynków na wschodzie.

Jak wyglądają Niemcy pod względem ekonomicznym.

Przewaga przemysłu niemieckiego nad przemysłem francuskim i angielskim. Milionowe zamówienia na samochody. Niemcy za miesiąc będą mogły eksportować. — Ilu robotników zatrudnia fabryka Kruppa.

Mimo porażki militarnej i przegranej wojny, Niemcy pod względem ekonomicznym mają jeszcze wielką przewagę nad Francyą i Anglią, ponieważ ich przemysł jest gotowy do fabrykacyi, jak za czasów pokoju. Niemcy bowiem zgoła nie poświęciły całkowicie swych warsztatów fabrycznych produkcyi wojennej, jak się to stało w Anglii lub Francyi. Większość warsztatów została tylko rozszerzona, a nie przekształcona. Firma Benz, która w roku 1914 zatrudniała 5.500 rzemieślników, dziś daje pracę 7.500 ludziom, wykonując pospieszne zamówienia szwajcarskie, duńskie, holenderskie..., a zamówień tych na samochody jest już tak wiele, że zaledwie w ciągu dwóch lat mogą być wykonane...

Za miesiąc Niemcy będą mogły eksportować i będą mogły dostarczyć... nawet Anglii tych wyrobów, których Anglia nie zdoła jeszcze u siebie wyfabrykować...

Możnaby przypuścić, że np. wielkie zakłady Kruppa będą musiały być zamknięte. Powszechnie przypuszcza się, że w tych warsztatach niczem innem nie zajmowano się, jak tylko wyrobem narzędzi wojny. To błąd. W czasie pokoju 90 procent fabrykacyi Kruppa było przeznaczone na zagranicę... — Krupp fabrykuje szyny kolejowe, koła wagonowe i t. d. Dziś 30.000 ludzi buduje u niego same lokomotywy.

Przemysł niemiecki jest jeszcze bardzo silny. Dla zupełnego zgniecenia Niemców, koalicya po wojnie militarnej musi wygrać wojnę ekonomiczną. Jest to koniecznem, jeżeli zwycięstwo nad Prusactwem ma być faktycznem, a nie pozornem.

Katastrofa mieszkaniowa.

W ciągu najbliższych trzech lat, nie przybędzie mieszkań w Polsce. — Domy kosztują dziś 10—15 razy więcej, niż przed wojną. — Przymusowe kwaterunki są pomysłem bolszewików. — Należy budować baraki. — Przedewszystkiem trzeba usunąć z Polski obcokrajowców!

W całym kraju naszym mieszkań nie przybywa i niewątpliwie w ciągu najbliższych 3-ch lat nic nie przybędzie, bo niepodobieństwo jest wznosić nowe domy, kosztujące 10—15 razy drożej, niż przed wojną.

A tymczasem zapotrzebowanie na mieszkanie wzmaga się gwałtownie. Polska została państwem niepodległem, a więc urzędowi i prywatni przedstawiciele państwowości zagranicznych, handlu, przemysłu, finansów etc. ciągną tu z natury rzeczy. Ciągną zbiegowie z pod bolszewików, zjeżdżają mieszkańcy kresów.

Już bolszewicy w Rosyi wymyślili „zgęszczanie mieszkań“, kwaterując przymusowo po lokalach prywatnych całe bandy swych siepaczy. Postępowanie to było chamskie, dokuczliwe, lecz trudno zaprzeczyć, że wywołane było koniecznością.

I u nas powstała konieczność. I u nas coś podobnego się robi, a musi być zrobione na większą jeszcze skalę. Lecz wykonać to należy po ludzku i bez szykanowania rodzin. Jednak i te zabiegi nie rozwiążą sprawy w zupełności. — Należy niezwłocznie przystąpić do budowy mieszkań drewnianych typu barakowego, lecz ciepłych i z wygodami sanitarnemi.

Poza tem, naturalnie, trzeba energicznie przystąpić do odrestaurowania owych setek tysięcy mieszkań po miastach, stojących obecnie pustkami. — Przedewszystkiem zaś trzeba pousuwać z całą bezwzględnością obcokrajowców, (przeważnie spekulantów, paskarzy i emisaryuszów nam wrogich), nie mających prawa mieszkać w Polsce.

M. STEVENSON.

Sobowtór Alicyi.

Powieść z życia amerykańskiego.

2 (Dalszy ciąg).

ROZDZIAŁ II.

Córka milionera i jej narzeczony.

— Cóż to za zbiegowisko! Co to znaczy? — Młoda dziewczyna wahająco postawiła nogę na szerokim stopniu samochodu, rozglądając się wokoło wzrokiem zdziwionym i niepewnym.

— Ależ, Alicyo — odrzekł jej towarzysz — możnaby mniemać, że nie poznajesz Nowego Jorku i hotelu Waldorfa... Zresztą zapomniałem, że tu dzisiaj odbywa się bankiet na cześć powracającego z Europy senatora Gordona... Hej! ty tam, na bok!... — krzyknął nagle, kiedy nędznie odziany człowiek przecisnął się przez tłum i potykając się, potrącił mocno ramię młodej damy...

— Czy on ci zrobił co, Alicyo?... Co za hultaj... Boli cię ręka?... Pobladłaś tak silnie.

— Przestraszyłam się tylko — przerwała mu pospiesznie — wejdźmy jak najprędzej do wnętrza, żeby się już raz wydobyć z tego ścisku.

W tej chwili przystąpił policyant, zapytując, czy się co młodej damie nie stało.

— O, nie, to był tylko jakiś gbur, pewnie pijany, który potrącił panią. Gdzie on się podział?

— Umknął, proszę pana, umknął — zawołał jakiś chłopak z chytremi oczyma ulicznika. — Już go pan nie złapie!...

— Daj mu spokój, Regie — poprosiła młoda dziewczyna. — W takim tłoku nic to nadzwyczajnego. Nie zrobił tego przecież naumyślnie.

— A właśnie, że tak! — zabrzmiał znowu donośny, piskliwy głos ulicznika — on to naumyślnie zrobił! Odsunął mnie na bok, żeby się zbliżyć do pani i potem...

— Cicho bądź chłopcze i usuń się pani z drogi! — zawołał policyant niecierpliwie i począł z wielką usłużnością torować przybyłym drogę wśród tłumu.

— Czy masz ochotę zjeść śniadanie w restauracyi? — zapytał młody człowiek, kiedy dostali się do olbrzymiego hallu wspaniałego hotelu.

— Ależ naturalnie, Regie! Nie jestem przecież chora. To był tylko chwilowy przestrach...

— Zatem dobrze... Gdzie pójdziemy? Może do sali palmowej posłuchać węgierskiej orkiestry?

— Doskonale.

Weszli do wielkiej sali, utrzymanej w subtelnym kolorycie i urządzonej z dyskretnym, pełnym smaku przepychem, w której spożywało śniadanie mnóstwo osób z eleganckiego towarzystwa nowojorskiego.

Tymczasem przed hotelem tłum przywitawszy popularnego senatora entuzyastycznymi okrzykami, poczynał się zwolna rozchodzić.

— No, zdaje się, że już więcej nic ciekawego nie będzie — odezwał się ów chłopak, który poprzednio mówił do młodej miss — ale dlaczego oni właściwie nie łapali tego draba, który tak silnie potrącił tę piękną pannę?... I o co chodziło!... Bo to nie był pijak!... Mruczał jakieś słowa, coś jakby po niemiecku, albo po holendersku... I to tylko mogę wam powiedzieć: o n j ą p o t r ą c i ł n a u m y ś l n i e !...

— Czy ja ją znam? — dał się słyszeć w sąsiedniej grupie ostry, piskliwy głos kobiecy — oczywiście, że ją znam!... To była przecież miss Irving! Jej ojciec to jest ten milioner, który...

— Co?! — wykrzyknęła dziewczyna — Alicya Irving?! Więc to ona...

Ale tamta nie pozwoliła sobie przeszkodzić.

— Czyż nie mówiłam? Rozumie się, że to ona!... Przecież jedna jest tylko Alicya Irving... A ten elegant, który z nią przyjechał, to Reginald Grey... On dopiero co odziedziczył ogromny majątek po babce... Alicya Irving ukazała się dzisiaj po raz pierwszy w mieście od czasu, jak ją porwali jacyś nieznani bandyci... Czternaśce dni temu powróciła do domu... i potem chorowała... Jedno mnie dziwi, że tamci zadowolili się głupimi pięćdziesięciu tysiącami dolarów...

— Głupie pięćdziesiąt tysięcy! Także coś... Tybyś wzięła i tylko oblizała się!...

Wszczęła się sprzeczka, której trwanie wszakże krótkie było, bo tłum rozpływał się na wszystkie strony i wnet na placu przed hotelem zapanował spokój...

* * *

Reginald Grey wybrał wygodny stolik na środku sali, taki, aby piękna jego towarzyszka siedząc przy nim, miała przegląd dokładny towarzystwa.

— Mój apetyt nie pozostawia nic do życzenia — rzekł z uśmiechem — jeżeli jednak ty, Alicyo, nie masz jeszcze ochoty do jedzenia, to możemy poczekać jeszcze chwilę, pogapić się trochę na znajomych.

— O! ja mogę jeść także... Tylko jestem trochę zmęczona. Jakieś mam niemiłe uczucie, które nie chce ustąpić pomimo wszelkich rad lekarzy... Boję się, że mogę nie poznać kogoś ze znajomych, nie skłonić się, a to byłoby niesłychanie nieprzyjemne...

— Może więc mam ci zwracać uwagę na osoby, przed któremi powinnaś skłonić twą piękną główkę.

— Gdybyś zechciał być tak dobrym.

— Ależ Alicyo...

Oczy jej, utkwione przedtem w spis potraw, podniosły się ku Reginaldowi błyszczące złoto-bronzowe, oczy tej samej prawie barwy, co bujne, naturalnie faliste włosy. Różowy obłok rumieńca przesunął się po delikatnych, bladych policzkach...

— O, popatrz, Alicyo, tam siedzi pani Parrington, a obok niej Dora Smidley... Naturalnie, te dwie są nierozłączne... A Dora ma najpiękniejszy w sali kapelusz! — w dodatku krwisto-czerwony!... Pani Parrington nie odrywa od ciebie oczu... Musisz więc nieznacznie podnieść wzrok, obejrzeć się od niechcenia — odkryć nagle obecność tych pań i pozdrowić je radosnem wejrzeniem i uprzejmym ukłonem...

Alicya roześmiała się dyskretnie i powoli podnosząc złoto-bronzowe źrenice, błądziła przez chwilę wzrokiem po sali, dopóki nie spotkała się spojrzeniem z panią Parrington i jej towarzyszką. Wówczas z uśmiechem pozdrowiła je ukłonem... W tej samej chwili obrócił się Reginald i także ukłonił się uprzejmie.

— Ależ z ciebie istny aktor, Regie — oświadczyła Alicya i zaczęła ze swego pięknie toczonego ramienia ściągać długą duńską rękawiczkę... Przy tej czynności guzik rękawiczki zaplątał się w koronkę, którą obszyty był rękaw sukni. Młoda dziewczyna przez chwilę mozoliła się naprożno, usiłując go odczepić ostrożnie.

— Pozwól mi, abym ujawnił jeszcze jeden talent — rzekł Reginald, pochylając się przez stół ku swej towarzyszce, aby jej dopomódz. — Ależ ten guzik uparty! — zaśmiał się. — Musisz, piękna pani, mocniej wyprężyć ramię... Nie mogę ściągnąć rękawiczki, kiedy ręka jest w łokciu zgięta. O, już wszystko w porządku... Ale co to... — urwał nagle i spojrzał na nią. Potem wzrok jego skierował się kędyś w bok... Reginald cofnął rękę i szepnął:

— Zdaje mi się, że podarłem koronkę... Jestem niezgrabny...

— Bynajmniej. Koronka jest calutenka... Okazałeś się bardzo zręcznym.

Zdawało się, że zapomniała już zupełnie o niemiłym wypadku na ulicy, wesoło zajęła się wybieraniem potraw i oświadczyła, że czuje szalony apetyt.

Reginald Grey dopomagał jej swemi radami przy zestawieniu „menu“, starał się utrzymać na ten temat dowcipne uwagi, ale w zachowaniu jego, poprzednio tak swobodnem, coś się zmieniło... Od chwili, gdy ujrzał białe, okrągłe ramię, wyprężone poprzez stół — coś, co dotychczas było lekką wątpliwością, niejasną obawą przybrało — realne kształty. Wstrząsnęło to nim tak silnie, że nie mógł przykrej myśli odepchnąć od siebie, dręczące przeczucie prawie pewność, które go prześladować będzie odtąd dniem i nocą, dopóki nie wyjaśni się dziwna zagadka...

(C. d. n.)

Święto lotnicze na lotnisku poznańskiem w Ławicy.

Dnia 30 września odbył się na lotnisku Ławicy pod Poznaniem wielki konkurs awiacyjny, połączony ze świętem lotniczem.

Konkurs rozpoczął się od dość chaotycznie prowadzonych lądowań ze stojącym śmigłem. Nagrodę otrzymał z łatwością podpor. Mierzejewski na Albastrosie typu B. II. lądując ładną linią w określonem miejscu.

Lądowanie ze stojącym śmigłem nie stanowi zagadnienia oderwanego, gdyż lotnikowi przytrafić się może w górze, iż silnik odmówi mu posłuszeństwa i trzeba będzie z każdego położenia bez względu na wysokość dążyć do spokojnego osiągnięcia ziemi, nie zostawiając aparatu i życia swego na pastwę wiatru.

Jeden z lotników niemieckich opisał wypadek, kiedy to nad pozycyami francuskiemi stanął mu silnik i zmuszony był opuścić się z wysokości 3.000 mtr. lotem szybowym, tak, aby przelecieć przestrzeń 2 klm., dzielącą go od linii niemieckich. Dzięki śmiałemu i umiejętnemu pokierowaniu płatowca udało mu się to w zupełności, został on nawet ostrzeliwany z okopów francuskich, ale bezskutecznie.

Część druga obejmowała loty figurowe i była najciekawsza. Loty figurowe stanowią kurs wyższej szkoły pilotów i nie są dla każdego dostępne. Wymagają one całkowitego i zupełnego zgrania się z płatowcem, oraz szalenie zimnej krwi, inaczej, albo pilot nie dociągnie figury do końca, albo też zleci i zabije się. Najbardziej energicznie zabrał się do figur Haber-Włyński, jeden z najstarszych lotników polskich i najlepszych instruktorów. Jednakże silne zdenerwowanie i podniecenie dało się odczuwać w jego ruchach i mimo pięknego oderwania się od ziemi, figury były początkowo niedociągane niektóre tylko robiły właściwe wrażenie. Pierwszą nagrodę wziął podpułk. Grochowski, który prowadził i trzymał płatowiec pewną i wprawną ręką, ale nie we wszystkich mógł dorównać plut. Bartkowiakowi. Druga nagroda przypadła z rzędu Haber-Włyńskiemu. Inni pracowali w miarę sił swoich i wykazali, iż lotnictwo nasze liczące wszystkiego kilka miesięcy będzie w stanie uczestniczyć w spotkaniach z siłami zagranicznemi.

Tanki w Warszawie.

(Popis tanków dnia 27 września 1919 w parku Sobieskiego).

Przecudna jesień polska, która bodaj jedyna nie zawiodła nas w dzisiejszych czasach zawodów i rozczarowań na tylu polach, sprzyjała pierwszemu w Warszawie popisowi tanków.

Zaciekawienie było niezwykłe. Tyle bowiem słyszeliśmy o tych stalowych potworach, które tak doniosłą odegrały rolę w zwycięstwie nad krzyżactwem, tylekroć oglądaliśmy je w ilustracyach zagranicznych i na filmach bojowych, iż niema chyba człowieka, któryby nie odczuwał pewnego drżenia ciekawości na myśl o możności ujrzenia tych maszyn, czołgami po polsku zwanych, własnemi oczyma.

Na tor wjechało 5 czołgów francuskich, lżejszego typu, znacznie mniejszych od olbrzymów angielskich. Wielkością przypominają zwykłe maszyny torpedo.

Maszyny ze zgrzytem łańcuchów i hałasem potężnych motorów objeżdżają tor dokoła. Mechanicy i żołnierze ukryci są wewnątrz pancerzy. Z przedniej części wyzierają otwory karabinów maszynowych na tarczy obrotowej. Czołgi, jak gady potworne, kierowane niewidzialną, wewnętrzną siłą, idą szybko po równi, przecinają, jakby łan pszeniczny, zasieki, druty kolczaste, z łatwością biorą przeszkody o postaci nasypów i rowów, przejeżdżają wreszcie przez staw, a w zakończeniu wspinają się na wysokie i strome pagórki ujazdowskiego wzgórza. Z jednaką, zda się, łatwością czołgają się na potężnych transmisyach po równinie, jak po dołach i wzgórzach.

Wrażenie — silne. Cisną się wspomnienia z ostatniego obrazu wojny, gdy czołgi tak rozstrzygający wpływ na losy świata wywarły.

Filozof polski przemyśliwał nad tankami

Pierwszą ideę tanków wojennych powziął jeden z najgłębszych umysłów filozoficznych Polski — Hoene-Wroński. Już w roku 1837 ogłosił bowiem Wroński rozprawę p. t. „Rails mobiles tou chemins de fer mouvants pretis a servis sur toutes les ronles, et avec toutes les voitures“, a w roku 1838, nawet modele na Polach Elizejskich w Paryżu wystawił.

W roku 1841 przedłożył ks. Adamowi Czartoryskiemu memoryał w sprawie przystosowania lokomocyi parowej do sztuki wojennej, w którym rozwija pomysł parowozu uzbrojonego działami, niezależnego od drogi żelaznej.

„Jeden wóz taki — pisał — po drodze głównej komunikacyi, osadzony tyralierami, na przodzie mający jedno działo lub dwa, rozbiłby milion dzisiejszego wojska. Wystawmy sobie jeden wóz taki na płaszczyznach Grochowa lub Woli i gdzieżby byli nieprzyjaciele nasi?“

Była to zupełnie oryginalna idea Wrońskiego, szyn ruchomych, to jest zespolonych nie z drogą, ale z wozem, co jest właśnie podstawą komunikacyjną tanków. Na ks. Czartoryskiego

---

Pierwszy raz na aeroplanie.

(Warszawa, Pole Mokotowskie).

— A pan chce przelecieć się dla wrażeń — zapytuje mnie por. A. — pan nigdy nie latał?

— Nie.

— Ano, to spróbujemy.

Zajmuję miejsce na przodzie aeroplanu, jako obserwator, lotnik-oficer— za mną. Przywiązuję się pasem. Śmigę puszcza w ruch żołnierz. Maszyna zaczyna działać. Huk. Maszyna zaczyna biedz po ziemi. Nagle unosi się w powietrze. Płyniemy nad miastem. Uczucie radości, dumy, strachu — przyznać się muszę — złączyło się na chwilę w jedno nierozerwalne koło. Unosimy się coraz wyżej. Płyniemy z szybkością ptaka. Prąd powietrza, gwałtowny prąd przebijamy, jak torpedowiec fale morza. Tam na dole Wisła, kamienice niby pudełka, parki z gruchającemi parkami, cerkiew soborowa, wspaniałe Łazienki — a po prawej ręce mamy park skaryszewski — jeziora jego lśnią i jakby oczy zaklęte wabią nas i mamią. Jesteśmy nad soborem saskim, ponad tysiąc metrów.

Nagle maszyna nasza przestaje działać i spadamy z olbrzymią szybkością w kierunku placu saskiego. Dziwnie na sercu robi się nowicyuszowi. Kilka set metrów nad placem maszyna zaczyna na nowo pracować. Wznosimy się znów w górę. Obserwuję miasto, ludzi, ani tramwai nie widzę, tylko błysk elektryczny wskazuje, że tam na dole kursują tramwaje i życie wre.

Okrążamy miasto dokoła. Nachylamy się i skierowujemy na pola mokotowskie. Wiatr szalony zmusza mnie do odwrócenia oczów w przeciwną stronę. Aeroplan nachyla się gwałtownie, linia jazdy naszej załamuje się. Zaczynamy robić korkociągi. Całe idealnie równe pole mokotowskie pokrywa się górami ostremi, spadzistemi dolinami. Raz na przemian tam, gdzie były góry za chwilę powstają doliny, i na odwrót.

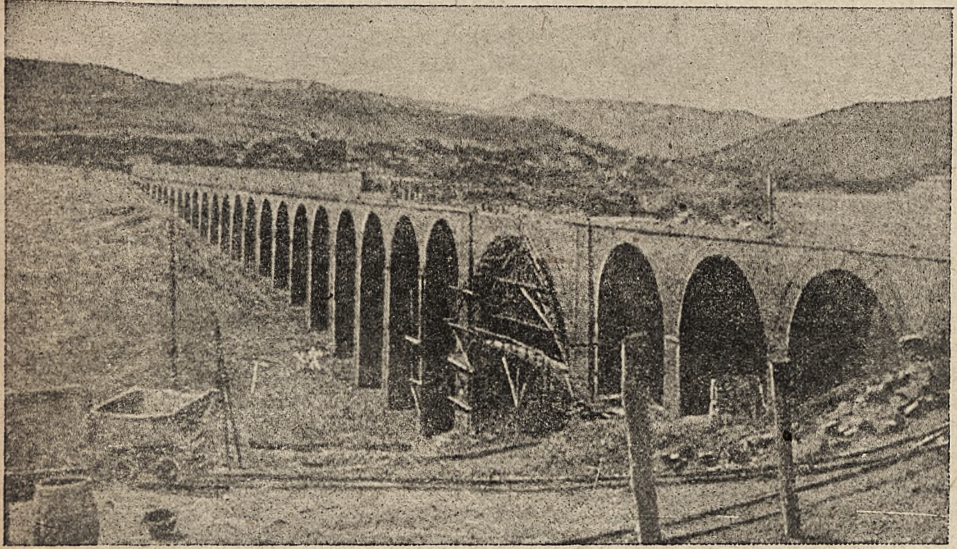
Maszyna zbliża się do ziemi. Pędzimy po ziemi z mniejszą wprawdzie szybkością, jak w powietrzu. Dochodzimy do miejsca startu. Aeroplan toczy się coraz wolniej, wolniej, wreszcie drga i staje!...

---

nie wywarł jednak memoryał wniesiony odpowiedniego wrażenia. Ale marzeń swych, związanych z tym wynalazkiem, nie wyrzekł się tak łatwo. W roku 1867 ofiarował zatem użytek z niego Napoleonowi III. Niestety, równie bezskutecznie. Dopiero wielka wojna wysunęła ideę Wrońskiego na pierwszy plan. Myśl szyn ruchomych, poruszających się wokół wozu, stworzyła model tanków i zwyciężyła w straszliwym pojedynku wielkiej wojny.

Największy wodociąg na świecie.

Inżynier włoski Pittoni skonstruował plan olbrzymiego wodociągu, który ma doprowadzać wodę z Apulii i Kalabryi do skąpej w źródła Kampanii. Ten przewód wodociągowy biegnący setki kilometrów jest największym na świecie, jaki dotychczas zbudowano. Będzie on miał wielkie znaczenie gospodarczo-rolnicze, oraz przyczyni się do poprawienia warunków zdrowotnych w okolicach, które dotychczas były pozbawione wody.



Największy wodociąg na świecie.

Telepatja na usługach policyi.

W Lipsku, w tych dniach dokonano interesującej próby, czy zapomocą telepatyi, t. j. czucia na odległość, możnaby ułatwić zadanie policyi kryminalnej. Zainscenizowano mianowicie aferę morderczo-rabunkową, przyczem telepata miał odnaleźć ofiarę, przestępcę i przedmioty zrabowane. Poprowadził on istotnie policyantów i innych świadków przez najbardziej ludne ulice miasta i ku wielkiemu zdumieniu odnalazł wszystko z całą dokładnością.

Prawdopodobnie więc przy najbliższej aferze kryminalnej, policya lipska odwoła się do pomocy telepatyi. ,

„Telepatya, czyli czucie na odległość“, jest to właściwość polegająca na odnajdywaniu w czasie i przestrzeni przedmiotów oddalonych. Znano tę właściwość już w czasach Agryppy i Paracelsusa. Swendenborg (1688-1772) zajmował się telepatyą i utrzymywał, że sam posiada własności telepatyczne. Twierdził on naprzykład, że zobaczył w 1759 płonący jeden z zamków w Sztokholmie, choć od Sztokholmu dzieliła go odległość około stu kilometrów.

Narazie jednak są to rojenia fantastyczne, bo dotychczas nie znaleziono takiego telepaty, któryby mógł zastąpić mozolną pracę ajentów policyjnych. Zwłaszcza, że należałoby się w tym wypadku liczyć z możliwem oszustwem i szarlataneryą...

Motor z kołem rozpędowem.

Technika postępuje bezustannie naprzód w kierunku udoskonalania naszych środków komunikacyjnych, w szczególności najdostępniejszy z nich rower we wszelkich odmianach cieszy się szczególną pieczołowitością. Praktyczne jego zastosowanie wymaga dużo osobistej siły i nakładu pracy, co dla ludzi słabszej konstrukcyi fizycznej tworzy trudności w użytkowaniu tego środka komunikacyjnego. Starano się też wynaleźć coś, coby jednoczyło taniość roweru z wygodą motocyklu i łączyło w sobie techniczne zalety jednego i drugiego. Jednemu z berlińskich wynalazców udało się znaleźć rozwiązanie tego zadania przez skonstruowanie małego motoru z kołem rozpędowem.

Nowy ten motor może być przymocowany do każdego roweru w najprostszy sposób w ciągu kilku minut, przyczem wykluczone jest popalenie i poplamienie ubrania, ponieważ motor umieszczony jest poza siedzeniem.

Motor wprawiany jest w ruch przy pomocy jednej tylko dźwigni, przytwierdzonej do kierownicy.



Rower, zaopatrzony motorem z kołem rozpędowem.

W dziewiczych krajach Afryki.

2 (Dalszy ciąg).

Dłużnikom swoim nie ustępowała w terminie; nie zezwalała na zwłokę najmniejszą, bez względu na uczciwość, czy chwilowy kłopot, stający niekiedy najlepszym chęciom na zawadzie. Biada temu, kto był dłużnym firmie Rontonac, a nie miał w terminie pieniędzy gotowych do zapłaty!

Fakt pewien, który długo był głośnym, maluje doskonale charakter tej szczególnej rodziny.

Ojciec dzisiejszych braci Rontonaców był również naczelnikiem firmy. Raz miał sprzeczkę gwałtowną z dyrektorem filii banku francuskiego w Bordeaux, który w uniesieniu nazwał go „handlarzem hebanu“.

Rontonac poprzysiągł zemstę i oto co zrobił:

Pewnego dnia zjawił się do kasy banku z biletami bankowymi na sumę dziesięciu milionów i zażądał wymiany ich na złoto. Dyrektor, nie mogąc odmówić słuszności żądania, kazał mu wymieniać bilet po bilecie dla zyskania na czasie. W chwili zamknięcia kasy wymienił mu ich ledwie za trzykroć sto tysięcy, ale zatelegrafowawszy do Paryża, otrzymał odpowiedź, że dziesięć milionów w złocie otrzyma umyślnym pociągiem. Nazajutrz, Rontonac przez rejenta założył p r o t e s t przeciw odmówieniu wypłaty. We dwa dni później, dziesięć milionów przybyły do Bordeaux i zostały wymienione na bilety. Ale Rontonac odmówił przyjęcia zwrotu kosztów, ażeby mógł zatrzymać akt protestu, który w ramki oprawić kazał i zawiesił w najwidoczniejszem miejscu swego gabinetu.

Bank francuski nie mógł wrogowi swemu oddać pięknem za nadobne, bo Rontonacowie nie wypuszczali biletów kredytowych, nie przekazywali nawet nikomu weksli, którymi im płacono, kładąc je poprostu do portfelu i czekając cierpliwie terminu. H a n d l a r z h e b a n u, wyrzekł był dyrektor filii bankowej — a miano to było dotknięciem do żywego, i od dwóch wieków stanowiło całą historyę Rontonaców.

Rodzina ta w rzeczy samej zawdzięczała niezmierny swój majątek handlowi niewolnikami.

Już od XIV wieku Portugalczykowie uwozili murzynów z brzegów afrykańskich na robotników w powstających koloniach swoich. Za przykładem ich poszły inne narody europejskie, a odkrycie Ameryki nadało rozwój niezwykły haniebnemu temu handlowi.

Założyciel firmy Rontonac odbył pierwszą swoją podróż na brzegi Gwinei w 1640 roku, a dwustu nędzarzy korzystnie sprzedanych na targu w Antyllach położyło podstawę powodzeniu handlowemu, które następnie coraz pomyślniej rozwijać się miało.

Odwołanie edyktu Nantejskiego, które fatalnem dla Rontonaców jako hugonotów staćby się mogło, przetrwali oni bez szwanku, bo zbyt potężnymi już byli, aby przypomnieć sobie chciano, że chodzą do zboru na kazania, a zresztą kieszeń ich stała zawsze otworem za dobry procent dla królów Francyi.

Kiedy Pensylwania w 1780 roku uroczyście postanowiła zniesienie niewolnictwa, pierwsza podnosząc sztandar reakcyi sumienia przeciw handlowi obmierzłemu, firma na wybrzeżu Bacalan była u szczytu świetności, pokrywała kantorami swymi Afrykę i w y w o z i ł a rok rocznie od piętnastu do dwudziestu tysięcy murzynów na użytek świata całego.

W 1792 roku Dania pierwsza wstąpiła w ślady szlachetne jednego ze stanów unii amerykańskiej, ale protestacye te odosobnione mało obchodziły handlarzy niewolników, bo ani jeden, ani drugi kraj, z dających tę szlachetną inicyatywę, nie miał siły dostatecznej, którąby zacne ich postanowienia uszanować zmusiła.

Z tem wszystkiem Rontonacowie, jako ludzie oględni, zaczęli się niepokoić nowymi prądami, a przewidując chwilę niedługą, w której dwie wielkie potęgi morskie wystąpią z kolei przeciw bogacącemu ich handlowi, stopniowo zaczęli zmieniać operacye swoje, nadając coraz większą wagę istotnym obrotom, na które dotąd mało zwracali uwagi. Nie zaprzestając tedy handlu niewolnikami, który z większą jeszcze, niż przedtem prowadzili zaciętością, wysyłali współcześnie statki swoje z towarami i po towary do Indyi, Chin i Japonii.

Po rozmaitych środkach przedsiębranych pojedynczo gwoli zniesieniu handlu niewolnikami, które jednakże z początku nie odnosiły spodziewanych rezultatów, Francya i Anglia postanowiły porozumieć się wspólnie i połączyć swe siły przeciw hańbiącej całą ludzkość sprawie. Ponieważ p r a w o r e w i z y i w z a j e m n e j statków handlowych przez wojenne, postanowione w 1830 roku, dało powód do nadużyć, ograniczono je więc jedynie do statków spotykanych na wodach sąsiadujących z krajami murzyńskimi i oba państwa pomienione, przy pomocy stałej floty strażniczej, wzięły na siebie strzeżenie wybrzeży afrykańskich, od przylądka Zielonego do przylądka Frio.

Od tego czasu Rontonacowie zaniechali całkowicie, jak się zdawało, handlu niewolnikami i całą działalność swą skierowali ku operacyom handlowym na krańcowym Wschodzie i wyspach oceanu Spokojnego, gdzie wyrobili sobie zbyt obszerny. Kilka statków, które wysyłali jeszcze do brzegów Afryki, zajmowało się widocznie handlem zamiennym jedynie. Zatrzymywane wielokrotnie przez statki strażnicze z powodu dawnej opinii armatorów, ulegały najściślejszej rewizyi, nigdy jednak nic na nich nie znaleziono, coby mogło wzbudzać podejrzenie niedozwolonego handlu.

Kwitnący stan firmy starej, olbrzymie pole jej operacyi we wszystkich gałęziach handlu cukrem, kawą, nasionami olejnemi, drzewem cennem, kauczukiem, rogami bawolimi, skórami, muszlą perłową, ryżem, olejem kokosowym i t. p... dowodziły najwyraźniej, że bez szkody materyalnej dla siebie mogła się była wyrzec ona niebezpiecznego handlu h e b a n e m i że awanturnicze jej statki niewolnicze, korsarze w razie potrzeby, zamieniły się, j a k s ą d z o n o p r z y n a j m n i e j, w spokojne kupieckie okręty. Tymczasem działo się inaczej.

Na radzie sekretnej, odbytej przez najważniejszych członków rodziny, ojciec obecnych naczelników firmy oświadczył uroczyście, że Rontonacowie rozpoczęli od handlu niewolnikami i że honor i interesa ich wymagają, ażeby nie porzucać tej operacyi, dopóki istnieje pod słońcem jeden kącik ukrywający niewolnictwo. Za zgodą ogólną postanowiono, że jeden z Rontonaców uda się do portu któregoś ze stanów amerykańskich niewolniczych, tam wybierze kilku zdolnych kapitanów, dostarczy im statków, zapisanych na ich imię i że handel niewolnikami w dalszym ciągu prowadzony będzie bez żadnego niebezpieczeństwa dla firmy w Bordeaux, która pozornie występować będzie jako statki te wynajmująca jedynie.

Cezar Rontonac, na którego przypadła misya wykonania tych postanowień, założył kantor w Nowym Orleanie, pod pozorem gromadzenia bawełny z plantacyi Luizyany; istotnym zaś celem był łatwiejszy nadzór nad ajentami.

Wyekwipował następnie i wyprawił z pół tuzina galiot specyalnie do szybkiego biegu zbudowanych i urządzonych dla pomieszczenia na każdej od 3-ch do 4-set murzynów. Każdy z tych statków zaopatrzony był w machinę śrubową o sile dwustu koni, zręcznie ukrytą pod fałszywym pokładem, która pozwalała w danym razie, przy pomocy żagli, żartować sobie z najszybszych statków strażniczych flot obydwu.

Machina ta, nieznana jeszcze marynarce europejskiej, wynaleziona umyślnie została przez jednego z najzdolniejszych mechaników w Bostonie, do którego Cezar Rontonac zwrócił się z takiem żądaniem:

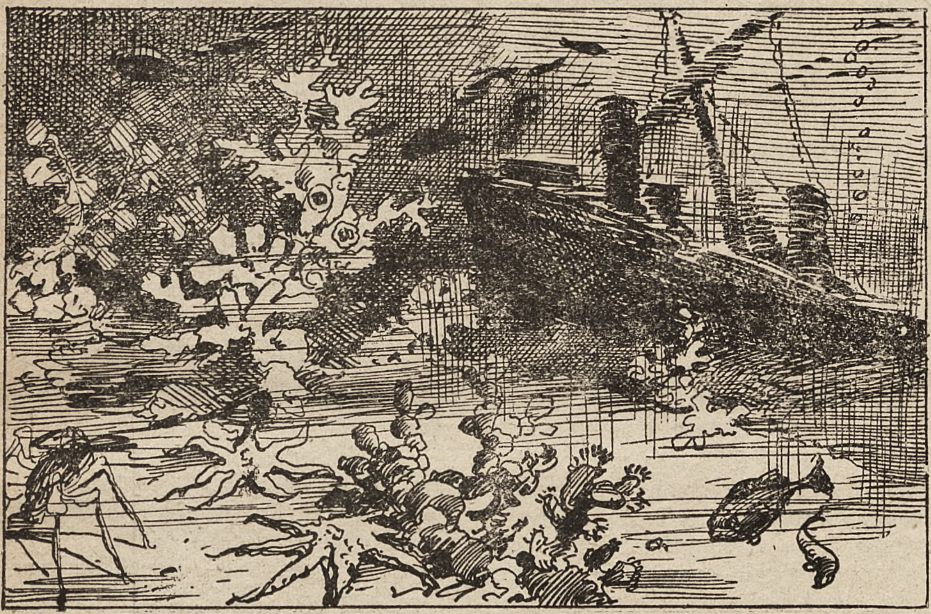
— Zbuduj mi pan parowiec bez kół, któryby wyglądał z wierzchu, jak zwykły statek żaglowy.

(C. d. n.).

Zatopione skarby.

Miliony na dnie morza. Dawne podania i współczesna rzeczywistość. Postępy techniki. Wynalazek amerykański.

Morze, ten bezkresny przestwór wody, w pogodny, słoneczny dzień mieniący się tęczą barw od przejrzystego lazuru do ciemnej, grynszpanowej zieleni, a w burzliwy czas groźny pociemniałą, prawie czarną, zapienioną falą — to otchłań, kryjąca świat dziwów, tajemnic, potworów i... skarbów... Nietylko skarby naturalne, jak muszle perłowe i korale, znajdują się na dnie morza, ale bogactwa, które



Zatopiony okręt na dnie morza.

wprzód należały do człowieka, zanim w czasie burzy lub bitwy morskiej pochłonęła je toń niezmierzona. Ileż to okrętów naładowanych złotem, srebrem, dyamentami, kością słoniową, najkosztowniejszą bronią, najcudowniejszymi klejnotami spoczęło na dnie morza... Działo się to od czasów najdawniejszych, ale podczas wojny 1914—1918 r. ilość zatopionych statków osiągnęła cyfrę najwyższą w dziejach.

A każdy z takich pochłoniętych przez fale okrętów zawierał ładunek o milionowej wartości... Ileż to bogactw nieprzeliczonych zabrało morze i strzeże zazdrośnie w swym skarbcu niedostępnym...

Ale ludzie zbyt chciwi są, aby mogli zostawić w spokoju te skarby mieszkańcom głębin morskich... Umysł ludzki wysilał się na to, aby znaleźć sposób odzyskania zatopionych skarbów...

Niełatwe to zadanie... Dawne powieści i legendy powiadają nam o niejednym śmiałym awanturniku, który spuszczał się na dno morza w poszukiwaniu za złotem runem i ginął zmiażdżony szczękami ohydnych potworów, lub opleciony białemi jak alabaster i zimnemi jak lód ramionami rusałek-dziwożon...

Tyle mówi poezya, ale rzeczywistość ścisła, praktyczna i wyrachowana nie liczy się z nią, nie przeraża się opowiadaniami o bajecznych potworach i królewnach morskich, broniących dostępu do skarbów...

Z postępem czasu, z udoskonaleniem techniki do współzawodnictwa z zuchwałym nurkiem stanął inżynier, uzbrojony w udoskonalony hydroskop, to jest aparat pozwalający zapuścić wzrok w głębie morskie...

I tak np. wyłowiono z zatoki Zuidersee część ładunku, zatopionego w 1799 r. okrętu angielskiego „Lutine“... Była to jednak drobna cząstka tylko — mniej więcej wydobyto dwa miliony, pozostawiając na dnie jeszcze około 30 milionów. W 1808 r. Francuzi stracili sto milionów na wybrzeżach Holandyi, z czego wydobyto już połowę...

Ale ilość odzyskanych skarbów nie stoi w żadnym stosunku do tego, co pozostało, tem więcej, że skafandry, t. j. aparaty nurkowe, mogą się opuszczać tylko do pewnej głębokości... Zdołały one dokonać wiele, ale nie wszystkiego... Miliony czekają!...

Obecnie istnieje uzasadniona nadzieja, że został skonstruowany aparat, który pozwoli szukać skarbów tam, kędy nie mogą dotrzeć skafandry.

Aparat ten, wynalazek amerykańskiego inżyniera Sissona, nosi nazwę „Cannon ball“. Jest to osobliwej konstrukcyi łódź podwodna, podobna z wyglądu do lufy armaty, skąd też pochodzi jej nazwa. Aparat ten waży sześć ton z całą maszyneryą.

Praca załogi tego nurkowca polega na przymocowaniu do dwóch stalowych pontonów i pompowaniu za pomocą specyalnych pomp zewnętrznych wody w miejscu, gdzie znajdują się zatopione okręty. Każdy z takich pontonów może dźwignąć 300 tonn wody, a jeżeli ich jest wystarczająca ilość, to mogą wydobyć na powierzchnię statek zatopiony.

Załoga „Cannon Ball“ może pracować 72 godzin bez narażenia się na niebezpieczeństwo, albowiem normalne warunki atmosferyczne są zachowane dzięki zbiornikowi tlenu, umieszczonemu na szczycie nurkowca.

Ogromne magnesy przyciągają aparat inżyniera Sissona ku statkowi, którego ładunek usiłuje się wyłowić.

Jeżeli „Cannon Ball“ ziści pokładane w nim nadzieje — to morze będzie zmuszone oddać przeważną część tych skarbów, których dotychczas strzegło tak zazdrośnie.

Jeszcze historya o... wężu morskim.

Obecność węża-monstrum skonstatowano na plaży Saint-Marc. Czy to jednak nie bujna wyobraźnia hr. Gantrou, autora dzieła o wężu morskim.

W Saint-Marc sur Mer widziano w ostatnich dniach to tajemnicze zwierzę, które odkrył przed stu laty Constitutionel, a które znów widziano w roku 1866, gdy na własne oczy oglądał je kapitan Trescat, płynąc na pokładzie masztowca Coq-d'Or.

Obecnie hr. Gantrou, autor dwóch książek o kwestyi węża morskiego, nie miał sposobności na własne oczy ujrzeć potwora morskiego, ale podaje to na odpowiedzialność wiarygodnych świadków.

Monstrum widziano około godziny 3-ciej po południu na plaży, gdy wyczołgało się z lawiny piaszczystej, wzniosło się ponad poziom wody, okazując łeb ponad wodą w wysokości ponad 1 m. 50 cm. Wąż ten był długości bliżej nieokreślonej, ale poruszając się swem cielskiem w wodzie, wywoływał ogromne kręgi wodne. Pozostawał długo rozciągnięty na brzegu, a obecność jego skonstatował p. Lhote z Saint-Marc, oraz kilka osób kąpiących się. Ukazanie się węża morskiego było tematem rozmów całego sezonu na plaży Saint-Marc sur Mer.

Tajemnice życia pozagrobowego.

I.

Jeden z naszych czytelników ksiądz M. nadesłał nam opis niezmiernie ciekawego i głęboko zastanawiającego przypadku, prosząc o podanie go do wiadomości publicznej na łamach naszego pisma.

List księdza M. zamieszczamy poniżej w dosłownem jego brzmieniu:

* * *

„Byłem wówczas jeszcze bardzo młody i dopiero od dwóch lat pełniłem obowiązki kapłańskie w pewnej fabrycznej osadzie... Było tam pole dla pracy nad duszami szerokie, ale chwastami zarosłe, bo wśród ludności robotniczej szerzył się duch obojętności religijnej. Wielu było robotników, którzy do kościoła chodzili rzadko, a nie spowiadali się wcale.

Pewnego wieczoru jesiennego, kiedy za szybami dzwonił deszcz i jęczał wicher, siedziałem w domu, rozmyślając nad tym smutnym stanem rzeczy i sposobem ratowania dusz moich parafian. Nagle u drzwi wchodowych zadźwięczał dzwonek... Poszedłem sam otworzyć i ujrzałem przed sobą staruszeczkę siwą, przygarbioną, po wiejsku ubraną w strój w okolicy zupełnie nieznany.

— Proszę księdza dobrodzieja — rzekła — na ulicy Fabrycznej Nr 15 jest umierający, który prosi o Przen. Sakrament...

Nie zwlekając ani chwili, przygotowałem się, aby zaopatrzyć chorego na drogę wieczności... Staruszka tymczasem znikła gdzieś... Gdy szedłem otulonemi w gęste, wilgotne mgły ulicami, zdawało mi się, że kiedy niekiedy przez mgłę miga jej drobna, przygarbiona postać w barwnej, chłopskiej chuście. Myślałem, że spieszy ona, aby przygotować mieszkanie na przyjęcie Pana. Kiedy znalazłem się wreszcie przed domem Nr 15 na ulicy Fabrycznej, nie zobaczyłem tam nikogo.

Był to domek nizki, parterowy z facyatką, brudny, odrapany, jak większość mieszkań robotniczych w tej miejscowości. Dzwonka nie było, tylko drewniana, staroświecka kołatka... Pociągnąłem za nią i długą chwilę czekałem, zanim we drzwiach ukazała się młoda kobieta z dzieckiem na ręku.

Kiedy zapytałem ją o chorego, oświadczyła mi, że wszyscy w domu są zdrowi i że nikt księdza z Sakramentami nie wzywał.

— Jakiż tu numer? — zapytałem, sądząc, żem się pomylił.

— Piętnasty — brzmiała odpowiedź.

Dokładnie pamiętałem, że staruszka powiedziała: ulica Fabryczna Nr 15. Cóż to więc znaczyć może?...

— Kto w tym domu mieszka? — pytałem dalej, przypuszczając, że może kobieta owa nie jest dobrze poinformowana.

— Na dole tylko ja z mężem i dziećmi i teściowa, a na facyatce jeden z kolegów fabrycznych męża, ale i on jest zupełnie zdrów...

— Jabym jednak zajrzał do niego — powiedziałem, tknięty jakiemś przeczuciem — proszę mnie tam poprowadzić...

Skoro się jednak znalazłem w facyatkowej stancyjce i zobaczyłem przed sobą rosłego, barczystego, rumianego chłopca, zrozumiałem, że musiała tu zajść jakaś pomyłka, bo człowiek ten wyglądał na uosobienie zdrowia i życia...

Miałem już odejść, kiedy młody robotnik odezwał się nieśmiało:

— Ja mam do ojca duchownego wielką, wielką prośbę...

— Mów, moje dziecko, słucham cię...

— Ja... już się dwa lata nie spowiadałem... Dawniej, kiedy byłem jeszcze we wsi rodzinnej, chodziłem często do spowiedzi i do Komunii... Matka tak pilnie przestrzegała tego... Ale tutaj... tak się jakoś złożyło... To czasu niema... to zabawa wypadnie... koledzy przeszkodzą albo i wyśmieją... A jednak ja czuję potrzebę oczyszczenia... Jeżeli ksiądz dobrodziej jest już tutaj, to... to możeby wyrządził tę łaskę i wyspowiadał mnie zaraz... Czyż to człowiek wie, co go czeka?... A nużby przyszło w grzechu umierać...

Uczyniłem zadość jego prośbie. Wyspowiadał się przykładnie, przyjął Komunię Przenajśw., a kiedy powstał z klęczek w oczach świeciły mu łzy szczęścia...

— Jak mi teraz lekko i dobrze... — rzekł, uśmiechając się błogo.

Pożegnałem mego penitenta, dowiedziawszy się, że nazywa się Jan R.

Nazajutrz tragiczna wieść wstrząsnęła osadą, pogrążając kilkanaście rodzin w smutku i żałobie. W wielkiej fabryce przetworów chemicznych nastąpiła katastrofalna eksplozya, której ofiarą padło kilkunastu robotników, a między nimi i Jan R. Wybuch zabił go na miejscu.

Prowadziłem kondukt pogrzebowy ofiar eksplozyi. Za trumną Jana R. szedł młody mężczyzna bardzo do niego z rysów twarzy podobny. Był to brat nieboszczyka, który, jak się dowiedziałem, przyjechał z dość daleka na pogrzeb. Po pogrzebie wdałem się z nim w rozmowę i uderzyło mnie to, że w mowie ma tensam akcent, co owa nieznajoma staruszka z przed kilku dni...

Poprosił mnie o odprawienie mszy za spokój duszy brata i wyjął stary, podarty portfel, aby złożyć ofiarę... Przy wyjmowaniu pieniędzy wypadła mu z portfelu wyblakła fotografia na lichym papierze odbita... Dzieło najwidoczniej jakiegoś jarmarcznego fotografa... Mimowoli rzuciłem okiem i poznałem twarz kobiety, która mnie wzywała do umierającego.

— Kto to jest? — zapytałem.

— Matka nasza... — brzmiała odpowiedź.

— Dlaczego nie przyjechała na pogrzeb?

— Och! ona już od trzech lat nie żyje...

Zawirowało mi w głowie... Nie wiedziałem, co myśleć o tem...

— Nie żyje?... — wybełkotałem.

— Ależ tak, nie żyje... — powtórzył nieco zdziwiony, zapewne uderzony zmianą wyrazu mej twarzy.

Nie rzekłem już na to ani słowa. Niezbadane są wyroki Boże".

* * *

Zamieszczając opis tego niezwykle ciekawego faktu, stwierdzającego istnienie stałego związku pomiędzy światem materyalnym, a światem nadprzyrodzonym, pragniemy dać możność wypowiedzenia się naszym Czytelnikom w tej sprawie. W tym celu prosimy o nadsyłanie nam faktów, uwag i spostrzeżeń, przedewszystkiem zaś zdarzeń osobiście zaobserwowanych, które będziemy umieszczali w naszem piśmie.

Redakcya.

ALEKSANDER DUMAS.

HRABIA MONTE CHRISTO.

Marsylia. — Przybycie.

Było to dnia 28 lutego 1815 r., gdy z wieży „Notre Dame de la Garde" dano hasło zapowiadające przybycie trójżaglowego statku „Faraon" z drogi do Smirny, Tryestu i Neapolu. Żeglarz pilnujący brzegów, udał się z portu pod zamek If, na spotkanie okrętu pomiędzy przylądkiem Mogiolu i wyspą Rion. Jak zawsze tak i dziś tarasa pod twierdzą św. Jana okryła się natychmiast ciekawemi; wielka to bowiem jest uroczystość dla Marsylii, gdy przybywa statek jaki, a szczególnie statek taki jak „Faraon" zbudowny w warsztacie starożytnej Focei, tam wyszykowany i wyładowany, a nadewszystko gdy ma właściciela w samem mieście.

Statek zbliżył się do portu, przebył już szczęśliwie cieśninę, utworzoną z wulkanicznych wstrząśnień pomiędzy wyspą Calasareigne i Jaros, minął Pomegę i posuwał się siłą swych trzech żagli, w orszaku pomniejszych należących do niego statków; lecz tak powolny i tak posępny był ruch i postać jego, że widzowie samem przeczuciem wiedzeni, już rozważali i zgadywali naprzód, co za nieszczęście statek ów dotknęło. Doświadczeni żeglarze poznali natychmiast, że jeśli się co złego przytrafiło, to pewnie nie statkowi. Bo chociaż zwolna płynął, ale w najlepszym porządku jak statek pod biegłym i umiejętnym kierownictwem. Kotwica spuszczona, żagle zdjęte; obok żeglarza, co torował statkowi drogę do portu marsylskiego, stał mężczyzna młody, pełen żywości w poruszeniach, bacznem okiem czuwał nad każdym ruchem okrętu i każdy znak przewodnika — żeglarza powtarzał.

Śród tłumu widzów, na których twarzy malowała się ta niespokojność, jeden szczególnie z liczby tych, co taras napełniali, zdawał się bardziej niespokojnym i niecierpliwym; nie mogąc się już doczekać przybycia statku do portu, siadł prędko do małej łódki i kazał się wieść naprzeciw Faraonowi; statki spotkały się wprost małej przystani.

Na widok przybywającego, młody marynarz opuścił stanowisko przy swoim przewodnim żeglarzu i z czapką w ręku idąc wzdłuż ściany okrętowej, postąpił ku niemu. Był to młodzieniec liczący zaledwie dwadzieścia lat, słusznego wzrostu, wysmukły, oczy miał piękne czarne, włos kruczy. W postawie jego malowała się spokojność i determinacya, wrodzona ludziom, co od dzieciństwa nawykli walczyć z niebezpieczeństwami.

— Ah! to ty Dantesie! — zawołał przybyły łódką, cóż się to stało? skądże ten smutek widoczny na całym pokładzie okrętu twojego!

— Nieszczęście, wielkie nieszczęście, panie Morrel — odrzekł młodzieniec — nieszczęście prawdziwe mnie szczególnie dotknęło. Na Civita-vecchia straciliśmy zacnego naszego kapitana Leclerc.

— A ładunek? — zawołał żywo właściciel okrętu.

— Nietknięty, w najlepszym porządku; spodziewam się, że pod tym względem będziesz pan kontent zupełnie. Biedny kapitan Leclerc...

— Cóż się to stało, mój drogi, dodał właściciel tonem wyraźnie spokojniejszym, jakby mu ciężar spadł z piersi; cóż mu się stało, temu zacnemu kapitanowi? Umarł? Czy wpadł w morze?

— O nie, umarł na gorączkę trawiącą wśród najokropniejszych cierpień.

Zwracając się potem do swoich ludzi, zawołał:

— Hola! Każdy na swoje stanowisko, osadzić okręt!

Załoga spełniła rozkaz, i ośmiu czy dziewięciu majtków, składających ją, rzuciło się w mgnieniu oka, każdy do swojej czynności.

Młody marynarz, przekonawszy się rzutem oka, że rozkazy jego spełniają należycie, powrócił do pana Morrel.

— Jakże się to stało, mój drogi to nieszczęście? — pytał dalej po przerwie właściciel.

— Ah, Boże najmilszy. powiem panu, żeśmy się nie spodziewali. Po długiej rozmowie z komendantem portu, kapitan Leclerc opuścił Neapol bardzo wzruszony: we 24 godzin dostał gorączki nadzwyczaj mocnej, a we trzy dni umarł. Sprawiliśmy mu pogrzeb, jak należy; spoczywa teraz nasz wódz skromnie, w swem łożu z kulą 36 funtową u nóg i głowy na wyniosłości wyspy Del Giglio. Wdowie po nim odwozimy jego krzyż legii honorowej i szpadę. Okropne to — mówił dalej z goryczą — walczyć z Anglikami lat dziesięć bez przerwy i umrzeć potem taką śmiercią, jak lada kto umiera — na łóżku!

— No, jakżeż chcesz, u dyabła, mój Edmundzie — odpowiedział właściciel w coraz bardziej lepszym humorze. — Wszyscy jesteśmy śmiertelni, trzebaż przecież, żeby starzy ustąpili młodym, inaczej, jakiżby był postęp; no, ale skoro jak powiadasz mi, ładunek jest...

— W najlepszym stanie, ręczę ci, panie Morrel. Podróż ta przyniesie ci pewnie sumę 25.000 franków w zysku.

Gdy już mieli ominąć „okrągłą wieżę", marynarz zawołał donośnym głosem: „Zniżaj żagle. szykuj łodzie. — Zwijaj".

Rozkaz spełniono z taką szybkością, jakby na statku wojennym.

— Ściągaj i zwijaj wszędzie!

Na ostatnią komendę wszystkie żagle zwinięto i okręt lekko posunął się siłą rozpędu.

— Teraz panie Morrel, jeśli chcesz, możesz wejść, rzekł Dantes, widząc niecierpliwość właściciela: oto właśnie wychodzi ze swego pokoiku buchalter pan Danglars; on ci udzieli objaśnień, jakichbyś żądał; co do mnie muszę obejrzeć stanowisko i wywiesić znaki żałobne okrętu.

Tego właśnie potrzeba było właścicielowi, uchwycił linę okrętową, którą mu Dantes rzucił, i z nadzwyczajną zręcznością jak najbieglejszy żeglarz, wdarł się po schodach na pokład statku. Dantes tymczasem wrócił na swoje dawne miejsce, aby nie przeszkadzać rozmowie Danglarsa, który w tejże chwili wyszedł z pokoiku.

Nowoprzybyły wyglądał na człowieka od 25 do 26 lat wieku, ponurej twarzy, w obejściu ze zwierzchnikami pokorny, dla podwładnych cierpki. Sam tytuł ajenta komisowego dość już obudza wstręt w majtkach, i dlatego zapewne cała załoga o ile kochała Edmunda Dantes, o tyle okazywała niechęć Danglarsowi.

— Wiesz już zapewne panie Morrel — przemówił Danglars — o nieszczęściu?

— Wiem już, wiem. Biedny kapitan Leclerc, tęgi to był i zacny człowiek.

A nadewszystko doskonały marynarz, zestarzał się ciągle tylko patrząc na niebo i morze, jak przystoi na człowieka, w którego ręku złożone były interesa tak znakomitego domu, jak Morrel Syn — odrzekł Danglars.

— Zdaje mi się jednak, rzekł właściciel śledząc wzrokiem Dantesa, że niekoniecznie trzeba być starym marynarzem, a można znać dobrze swoje rzemiosło. Oto naprzykład nasz kochany Edmund bez niczyjej pomocy poradzić sobie potrafi.

— Zapewne! — odparł Danglars, spoglądając na Dantesa z pod oka, w którem iskrzyła się zawiść — zapewne, nie ulega żadnej wątpliwości, to jest.... Zaledwie kapitan oczy zamknął natychmiast objął dowództwo bez niczyjej rady, i zamiast udać się prostą drogą do Marsylii, tośmy półtora dnia stracili na Elbie.

— Objąć dowództwo okrętu miał prawo i obowiązek, jako drugi co do stopnia po zmarłym; że stracił półtora dnia na Elbie, to źle, chyba że okręt potrzebował jakiej naprawy.

— Okręt był w najlepszym stanie, jak oto ja i jak panu z serca tego życzę, panie Morrel; podobało mu się zabawić te półtora dnia na lądzie i nic więcej.

— Dantes, zbliż się — rzekł właściciel, zwracając się ku młodzieńcowi.

— Natychmiast panie — odpowiedział Dantes — będę służył za chwilę — poczem zwróciwszy się do załogi, zawołał: „zarzuć kotwicę".

Kotwica natychmiast spadła, łańcuch zatonął z brzękiem. Chociaż pierwszy sternik był obecny ciągle, Dantes pozostał na stanowisku, póki statek nie stanął mocno, wkońcu krzyknął: „Spuść wstęgi do połowy masztu, zwinąć żagle w znak żałoby, skrzyżować reje".

— Czy pan nie uważasz — rzekł Danglars — że on się już uważa za kapitana okrętu.

— I jest nim w rzeczy samej — odpowiedział właściciel.

— Tak, tak, brak tylko podpisu twego i twojej spółki, panie Morrel.

— Cóż u dyabła, dlaczegożbyśmy nie mieli go na tym stopniu utrzymać? prawda, że jest młody, ale zdolny, jak widzę i doświadczony w swych obowiązkach.

Danglars zmarszczył czoło.

— Przepraszam, — rzekł Dantes zbliżając się — przepraszam panie Morrel; gdy okręt jest już na kotwicy, służę i jestem na rozkazy.

Danglars cofnął się jeden krok.

— Chciałem cię zapytać, dlaczegoś się zatrzymał na Elbie — zapytał Morrel.

— Chciałem wypełnić ostatnie zlecenie kapitana Leclerc, który umierając wręczył mi depeszę do marszałka Bertrand.

— Widziałeś go więc? Edmundzie.

— Kogo?

— Marszałka.

— Widziałem.

Morrel obejrzawszy się, odprowadził na bok Dantesa.

— Jakże się ma cesarz? — zapytał żywo.

— O ile mogę sądzić z tego, com widział, dobrze.

— Widziałeś więc i cesarza także?

— Właśnie wtenczas, kiedym był u marszałka, wszedł cesarz.

— Mówiłeś z nim?

— To jest on raczej mówił ze mną — odpowiedział Dantes uśmiechając się.

— I cóż ci mówił?

— Zapytał mnie, kiedy statek odbił z Marsylii, jaką płynął drogą, jaki ma ładunek. Zdaje się, że miał zamiar kupić go, gdyby był moim i bez ładunku. Ale powiedziałem, że jestem tylko porucznikiem okrętu, który należy do domu Morrel i Syn. „Aha, zawołał natychmiast, znam ten dom: Morrelowie z ojca na syna posiadają kupieckie okręty; jakiś Morrel służył w tym samym pułku, co i ja, kiedym stał z garnizonem w Walencyi".

— Prawda, jak Boga kocham, — wykrzyknął wesoło właściciel statku! — Wszakżeż to Polikarp Morrel, stryj mój rodzony; potem już został kapitanem. Dantesie mój drogi, powiesz memu stryjowi, że cesarz go sobie przypomniał, poczciwy stary zrzędza rozpłacze się z radości, zobaczysz. No chodźmy, — rzekł następnie przyjacielskim tonem, uderzając młodzieńca po ramieniu — chodźmy, Dantesie, dobrześ zrobił, żeś spełnił rozkazy kapitana Leclerc, żeś się zatrzymał na Elbie, chociaż gdyby wiedziano, żeś miał depesze do marszałka i mówił z cesarzem, mógłbyś być podejrzanym...

— Zacóż miałem być podejrzanym, mój panie? — rzekł Dantes, alboż ja wiem, com odwoził? Cesarz zaś czynił mi takie zapytania, jakieby pierwszemu lepszemu przybyszowi mógł czynić. Ale, ale, przepraszam pana raz jeszcze, dodał nagle Dantes, muszę jeszcze załatwić się z komorą i szpitalem.

— Dobrze, mój drogi Dantesie, rób co potrzeba.

Młodzieniec oddalił się.

W miarę jak się oddalał, Danglars się zbliżał.

— I cóż — zapytał — zdaje się, że musiał panu dostatecznie się usprawiedliwić z pobytu w Porto Ferrajo?

— Najdostateczniej, kochany panie Danglars.

— Tem lepiej, nie uwierzysz pan, jak przykro i boleśnie mieć kolegę, co nie spełnia swych obowiązków.

— Dantes jest najgorliwszym zawsze — odpowiedział właściciel — niema co mówić. Pobyt zaś jego był skutkiem polecenia kapitana Leclerc.

— Przypomniałeś mi pan kapitana Leclerc; czy Dantes nie oddał ci od niego żadnego listu?

— Mnie? nie. A czy miał jaki?

— Zdawało mi się, że prócz pakietu, kapitan Leclerc wręczył mu i list?

— O jakimże to pakiecie mówisz, panie Danglars?

— Przecież o tym, który Dantes oddał na drodze do porto Ferrajo.

— Skądże wiesz, że miał tam jaki pakiet oddać?

Danglars zarumienił się.

— Przechodziłem właśnie wtenczas około na pół otwartych drzwi kapitana i widziałem jak oddawał Dantesowi pakiet i list.

— O liście nic mi nie mówił, — odparł właściciel — a jeśli go ma, pewnie odda.

Danglars zastanowił się chwilę.

— Panie Morrel, nie wspominaj mu nic o tem, proszę cię bardzo: mogłem się pomylić.

Wtem nadszedł Dantes, Danglars cofnął się.

— Cóż Dantesie, skończyłeś już wszystko? — zapytał Morrel.

— Skończyłem.

— Jakoś niedługo trwało.

— Nie było co długo robić. Oddałem spis naszych towarów, papiery zaś nasze posłano do przejrzenia, gdzie należy.

Dantes spojrzał nagle wokoło.

— Tak jest, już nic nie mam do załatwienia, wszystko w porządku.

— No, może zjesz ze mną obiad?

— Przepraszam pana, wybacz, ale winienem naprzód powitać ojca. Najserdeczniej dziękuję za ten zaszczyt, muszę jednak pospieszyć do ojca.

— Słusznie, moje dziecko, słusznie; znałem cię zawsze jako dobrego syna.

— A... czy nie wiesz pan — zapytał Dantes z pewnym rodzajem wahania się, jak się ma mój ojciec.

— Myślę, że dobrze, chociaż przyznam ci się mój Edmundzie, żem go nie widział jakiś czas.

— Zapewne nie wychodzi prawie ze swego pokoiku.

— To dowodzi, że mu na niczem nie brakło w czasie twojej nieobecności.

(C. d. n.).

Riviera podczas wojny.

Mieszkańcy Nicei również odczuli dotkliwie wojnę. — Otwarcie kasyna w Monte Carlo po sześciomiesięcznej przerwie. — Tłumy graczy. — Wycofanie „ludwików“ i „napoleonów“. — Fałszywe żetony. — Uciekinierzy na Rivierze.

Myliłby się, ktoby sądził, że mieszkańcy Nicei nie odczuli wojny, że daleccy od błysków i grzmotów armat wylegiwali się bez troski w słońcu, patrząc spokojnie w niebo, bez obawy ujrzenia niemieckich aeroplanów i Zeppelinów.

Mieszkańcy Nicei odczuli wojnę i okrutnie cierpieli, gdy kasyna i szulernie przemieniono w szpitale, gdy zdławionym głosem chóralnym pod adresem rządu zanosili protest; gdy rząd zarekwirował i wykupił automobile i zmusił dostojnych sybarytów do posługiwania się demokratycznymi tramwajami, gdy widmo braku węgla i gazu stwarzało smutne horoskopy, gdy po trzech latach wojny wręczono im karty na cukier i chleb, gdy zmniejszono racyą cukru z 750 gramów miesięcznie na 500.

Lecz zlitował się los nad błogosławioną krainą i przez ołowiane chmury zawodów i gniotącego pesymizmu, przeciskać się poczęły jaśniejsze promienie.

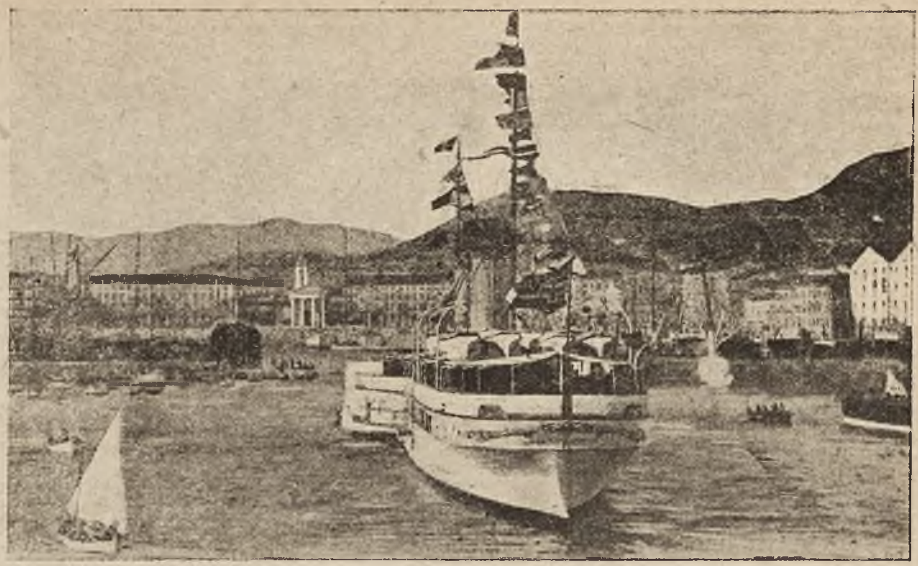
W roku 1915, po 6-miesięcznej pauzie, otwarto podwoje kasyna w Monte Carlo!

Czem ten dzień był dla tutejszych mieszkańców i przyjezdnych, opisać trudno. Porównać go chyba można z szałem radości, ulgi i wesela, jaki ogarnął ludność nicejską w dniu ogłoszenia zawieszenia broni. Koleje i tramwaje przepełnione; zamawiano miejsca i suto za nie płacono, korowód dorożek ciągnął się długim łańcuchem w kierunku Monte Carlo, a komisaryat kasyna był w oblężeniu.

Nadziejo! matko...

Kto mógł, spieszył do tego raju, w którym spekulacya na ludzki optymizm od 60 lat święci swój nieprzerwany tryumf, spieszył aby złotemu cielcowi złożyć swe obole na niezawodny procent!...

Z daleka, z Ameryki, Anglii, Hiszpanii, Włoch i t. p. zwabieni przepotężną kasynową reklamą, wieszczącą „otwarcie Edenu“, zjeżdżali cudzoziemcy i zapełniali szczelnie salony gry. Koncerty, bale, opery, loterye, balet, wszystko na rzecz... ofiar wojny (?), ściągały tłumy do „Montki“, w której żyło się, jak za najlepszych przedwojennych czasów. W tem małem, jakby nie z tego świata państewku, istniały wszystkie wygody, nie było żadnych braków, ani wojennych niewygód.



Port w Nicei.

Istny raj na ziemi wśród wesołości, szczęścia, pogody...

Tosamo słońce, bogate w kwiecie klomby, kąpiele morskie, te same w kioskach koncerty, to samo ruletki „zero“ rozciągało swój autorytet nad poddanymi.

Systemy (wszystkie niezawodne) miały i nadal swych licznych wyznawców i stanowiło poważne źródło dochodów... dla akcyonaryuszy kasyna. Wycofanie „ludwików“ i „napoleonów“ z zielonej powierzchni stołów zmieniło nieco fizyognomię i charakter sal gry. Ustał szum i brzęk srebra i złota przelewającego się z rąk do rąk. Wprowadzono w ich miejsce żetony z celluloidu, różnego formatu i koloru, które zastępują srebrne 5 i złote 20 i 100 frankówki. Naturalnie, że w tej kosmopolitycznej mieszaninie znaleźli się rychło tacy, którzy puścili w obieg falsyfikaty tych żetonów na przeszło półtora miliona.

A w Nicei?... płynęło życie niemal normalnie. Znikły tylko zastępy sezonowych graczy, bo kasyna wszystkie były zamknięte, nie urządzano igrzysk karnawałowych i bezofiarnych „batailles les fleurs“. Poza tem życie intelektualne i artystyczne wlokło się (jak dawniej) leniwo i ociężale; handel szedł swoim utartym trybem: hotele, pensyonaty i mieszkania prywatne nabite uciekinierami z Belgii, Francyi północnej i tymi z Paryża, którym „Berta“ zbyt brutalnie przypominała wojnę.

Fałszywa przepowiednia.

Gabryelowi d'Annunzio, słynnemu powieściopisarzowi włoskiemu, który obecnie na czele oddziału ochotników, zajął Fiume przepowiedziano, że umrze w 1914 roku.

Znakomity pisarz uwierzył w tę wróżbę i przez cały rok 1914 czekał śmierci.... czekał jeszcze i przez kilka miesięcy 1915 r., sądząc, że spełnienie przepowiedni opóźniło się jeno nieco... Skoro jednak upływały miesiące za miesiącami, rok za rokiem, a ostatnia chwila nie nadchodziła, d'Annunzio roześmiał się i rzekł:

— Jeszcze jedna przepowiednia, która się nie spełniła...

„Laleczka z saskiej porcelany“.

*Jakżesz się dziwnie los mój klepie ·
Fantazyą płochą raz owiany,
kupiłem sobie w jakimś sklepie
laleczkę z saskiej porcelany.*

*Złociutkie ona miała włoski
i była zawsze uśmiechnięta
i nosek, taki nosek boski
i chabry miała — cud — oczęta.*

*I humor miała też bez miary,
więc ją lubiałem sercem całem...
Aż raz... ja... legun... żołnierz stary,
w laleczce tej się zakochałem.*

*Laleczce z saskiej porcelany
najskrytsze dałem me tęsknoty,
porywów moich szał wiośniany,
kochania mego promień złoty.*

*A gdym wyjeżdżał gromić wroga,
składałem lalkę do łóżeczka,
mówiłem: „Wrócę moja droga!“
i całowałem jej usteczka.*

*Aż raz, w przystępie srogiej złości,
czemś, nie wiem — bardzo rozgniewany,
rzuciłem przedmiot mej miłości
i stłukłem lalkę z porcelany.*

*By kupić nową — brak ochoty,
za serce czasem coś mnie ściśnie,
o lalce snuję wciąż tęsknoty.
a w oczach gorzka... łza mi błyśnie.*

*
* * *
*

Przybyszewski o Szopenie.

Po szeregu odczytów na temat z życia pozagrobowego p. t.: „Naokoło śmierci“, o których pisaliśmy w poprzednim numerze „Życia i Powieści“, Przybyszewski wygłosił w Warszawie odczyt o Szopenie.

„Potęga duszy polskiej — mówił Przybyszewski — brzmi w Szopenie w całej pełni. Wszystko, co naród polski przecierpiał, przebolał jego walki, rozpacz i nadzieje znalazły w muzyce Szopena głęboki, wspaniałe brzmiący wyraz. Miłość Ojczyzny była religią Szopena. Wszystko, co napisał, jest przesiąknięte głębokiem i dziwnie potężnem umiłowaniem Polski. I dlatego tylko Polacy mogą prawdziwie odczuć Szopena. I w tem znaczeniu Szopen jest nasz i tylko nasz.

Każdy naród posiada jeden jedyny ton, do którego cała dusza narodu jest dostrojona. Ten zasadniczy ton, będący jądrem duszy polskiej, zabarwiający w specyficzny sposób wszystkie inne uczucia — a objawiający się najpotężniej w muzyce — tkwi w rdzeniu twórczości Szopena.

Prostacze melodye oddźwięki pierwotnej, żywiołowej duszy chłopskiej znalazły swój wyraz w mazurkach. Przepotężnie wielką jest dusza Szopena, świętą niemal jego miłość do Ojczyzny, a muzyka jego nieśmiertelną“.

Adelina Patti.

Wieczorem, 18 lutego 1842 roku śpiewaczka madrycka pani Barili, występowała na scenie opery madryckiej w roli Normy. Podczas przedstawienia zrobiło się śpiewaczce niedobrze, pomimo to jednak dokończyła swej roli, a powróciwszy do hotelu, powiła córeczkę, której na chrzcie dano imię Adeliny. Dziecko to miało w kilkanaście lat później oczarować swym śpiewem świat cały, jako Adelina Patti, o której śmierci doniósł właśnie telegraf. Powiadano o niej, że nigdy nie płakała, gdyż posiadała głos zbyt melodyjny, a gdy mogła już ustać o własnych siłach i kręcić się po pokojach, całe mieszkanie rozbrzmiewało jej piosenkami. Wcześnie zaznajomiona przez matkę z życiem teatralnem, mogła, licząc zaledwie lat kilka, zaśpiewać całą rolę „Traviaty“ z pamięci. To też, gdy wykształcona przez szwagra swego, Strakoscha, ożenionego z jej starszą siostrą Karoliną, również słynną śpiewaczką, wystąpiła w 17-tym roku życia po raz pierwszy na scenie nowojorskiej w 1859 r. — odrazu oczarowała wszystkich swym głosem fenomenalnym, nie tylko pełnym siły, ale zadziwiająco giętkim i melodyjnym. W 1861 r. przybyła do Europy i od tej pory występowała na wszystkich najcelniejszych scenach, święcąc nieprzerwany szereg tryumfów i zbierając, obok wawrzynów, ogromny majątek.

W 1868 r., u szczytu sławy, wyszła za margrabiego de Caux, rozwiodła się z nim jednak w 1874 r., po skandalicznym procesie i poślubiła w 1886 roku śpiewaka Nicoliniego, a po nim, w 1899 r., szwedzkiego barona Ralfa Pederstroema, dyrektora zakładu gimnastycznego w Londynie, na stałe bowiem zamieszkała w Anglii, nabywszy w Walii wspaniały zamek Craig-y-Kos.

Opowiadano o niej, że używała najrozmaitszych środków kosmetycznych dla utrzymania przez długie dziesiątki lat piękności, jak również, że posia-

Człowiek, który stracił i odzyskał swój nos...

Słynny pisarz rosyjski Gogol napisał humoreskę p. t. „Nos“, gdzie skreślone są przygody myśliwskie człowieka, który stracił tak ważny organ powonienia. Ten fantastyczny pomysł literacki zrealizował się obecnie w Anglii.

Parobek stajenny w Windsorze, William Robertson, stracił literalnie swój nos — i co dziwniejsze, odzyskał go. A stało się to w sposób następujący:

Pewnego dnia poszedł do stajni, aby czyścić konie. Nagle wypadła szyba z okna i odłamek szkła odciął mu nos zupełnie.

Zalanego krwią Robertsona przeniesiono bez nosa do szpitala.

— Gdzie jest pański nos? — zapytał lekarz.

Zraniony opowiedział o swoim wypadku. Syn lekarza pojechał na rowerze do stajni, a Robertson tymczasem czekał w szpitalu przeszło godzinę pozbawiony nosa...

Ku swej radości odzyskał go! Lekarz zapytywany z wielu stron o sposób wykonania tak niezwykłej operacyi, opowiedział, co następuje:

— Nos obmyto starannie w słonej wodzie i przyszyto... Następnie pod wpływem słonego okładu organ powonienia odzyskał swoją żywotność, krew poczęła krążyć i po kilku dniach rana zagoiła się kompletnie... Przyszyty nos nie uległ żadnemu zniekształceniu, pozostała tylko czerwona blizna, która z czasem zblednie i stanie się zupełnie nieznaczną...

Asekuracya przed kieszonkowemi kradzieżami.

W całym świecie obecnie wzrosła zastraszająco ilość kradzieży. Ameryka nie ustępuje pod tym względem innym częściom świata, a nawet kieszonkowi złodzieje amerykańscy starają się prześcignąć swoich kolegów europejskich. W Nowym Jorku kieszonkowcy „operują“ tak zuchwale i zręcznie, że towarzystwa asekuracyjne przyjmują już „ubezpieczenia kieszeni“. Premia asekuracyjna takiego ubezpieczenia wynosi 20 szylingów, a zapewnia zwrot straty nawet w tym wypadku, gdyby komuś skradziono portmonetkę z 1000 dolarów lub złoty zegarek. Można ubezpieczać także inne klejnoty, prócz zegarka, kołnierze futrzane, zarękawki i t. p., jeżeli ich wartość nie przekracza 1000 dolarów.

Obecnie więc ubezpieczony mieszkaniec Nowego Jorku śmiało, a nawet z pewną niecierpliwością wyczekuje, iżby go kto okradł na ulicy.

Jak rośnie człowiek.

Podobnie jak roślina, ma także człowiek okresy, w których rozwija się wzrost jego. Od kwietnia do czerwca, a więc na wiosnę, rośnie dziecko i młodzież najszybciej, przyczem łatwo rozpoznać najmniejszy nawet przyrost wagi ciała. Coś wręcz przeciwnego stwierdzić można od grudnia do kwietnia, bo zatrzymuje się zupełnie proces rozwoju ciała. Zauważyć też można, że pomiary ustosunkowania miary w kościach stawowych, zarówno u dzieci, jak i u osób dorosłych, wykazują rano znaczne różnice, które znikają w przeciągu dnia. Ma to swoje przyczyny dość ciekawe. W nocy mianowicie, gdy „wyciągnie człowiek swoje kości“, jak powiada lud, wówczas kości stawowe mogą się wyprężyć. Różnice w długości ciała rano a wieczorem wynoszą 2 mm. Malarya i mrozy wpływają na kurczenie się ciała. Wzrost ludzi w okolicach malarycznych i podbiegunowych nie osiąga ponad 1.35 m. Lapończycy i Eskimosi są małego wzrostu. Potomkowie małżeństw, zawieranych między krewnymi, wykazują również słabą tendencyę rozwoju ciała. Duży wpływ na zanik wzrostu ma alkohol. Dzieci, dobrze pielęgnowane, przebywające na powietrzu, dobrze odżywiane, rosną prędko. Dużo wpływa tu rasowość pewnych szczepów ludzkich.

Osada karzełków.

Angielski związek ornitologów dokonał podczas wyprawy naukowej na wyspie Nowej Gwinei, dwóch bardzo ciekawych odkryć. Ekspedycyi uczonych, której przewodniczył Wolter Goodvellovs, chodziło o zbadanie Gór Śniegowych, położonych w południowej części wyspy. Podczas wyprawy na jedną z gór odkryli uczeni na wysokości około 2.000 stóp osadę karzełków. Ludkowie ci wzrostem ciała dosięgają zaledwie 4 stóp, kolor ich skóry jest czarny, ramiona zaś w stosunku do całej drobnej postaci są nieproporcyonalne długie. Umysłowo są te karzełki tak słabo rozwinięte, że potrafią liczyć zaledwie do trzech.

---

dała tajemnicę utrzymania siły i piękności fenomenalnego głosu. Ci jednak, którzy bliżej znali słynną śpiewaczkę, jednozgodnie stwierdzają, że całą tajemnicą jej długotrwałej piękności i sławy śpiewackiej był poprostu brak nerwów. Nigdy nie przejmowała się niczem, nigdy nie brała nic zbyt głęboko do serca. Ta równość jej charakteru, to unikanie wzruszeń, było talizmanem jej piękności i głosu. Z tego też względu nie przejmowała się też zbytnio rzeczami mody, nie była jej niewolnicą, jak tyle innych słynnych śpiewaczek i aktorek. Rzadko kiedy przymierzała więcej, niż raz suknię zamówioną i w każdej czuła się równie swobodna i zadowolona.

Namiętność jej jedyną stanowiło zamiłowanie do klejnotów. To też posiadała brylanty i perły wartości kilku milionów franków.

Ale Adelina Patti mogła sobie na to pozwolić. W Ameryce płacono jej po 30.000 franków za występ i bywały lata, że jeden sezon przynosił słynnej śpiewaczce do dwu milionów franków!

Zarabiając tak olbrzymie sumy, musiała też pomyśleć o zabezpieczeniu sobie dochodu w razie niemożności śpiewania, ubezpieczyła więc swój głos w jednem z Towarzystw amerykańskich na 5.000 dolarów od wieczoru, w ciągu jednak długiej swej karyery artystycznej dwa razy tylko korzystała z ubezpieczenia. Za najlepszy zaś środek zabezpieczenia cudnego głosu przed wpływami gorąca sal teatralnych i koncertowych uważała przepłukiwanie gardła wodą z solą. Nigdy też nie jadała obiadu przed przedstawieniem. W dniach takich spożywała w południe befsztyk, a dopiero po przedstawieniu obfitą kolacyę.

Spytana kiedyś, kto był jej nauczycielem śpiewu, którego w prawdziwem słowa tego znaczeniu istotnie nie posiadała, odparła z uśmiechem:

— Le bon Dieu.

Istotnie był to talent z łaski Bożej.

* * * * *

ARTUR CONAN-DOYLE.

Widmo przeszłości.

2 (Ciąg dalszy).

Ten opuszczony, zapleśniały dom służył jedynie, jako drogowskaz dla rybaków; z doświadczenia wiedzieli bowiem, że, znajdując się naprzeciw kominów Brinksomu i białej wieży Cloomebr, mogli szczęśliwie ominąć niebzpieczne rafy podwodne, często ukryte pod wysokiemi falami rozszalałego morza.

Oto do jakiej więc miejscowości zmienny los zagnał mego ojca, siostrę moją i mnie. Samotność nie przestraszała nas. Po gorączkowym ruchu i gwarze wielkiego miasta, po wyczerpujących wysiłkach, by żyć przyzwoicie z niewielkiego dochodu, odetchnęliśmy swobodnie pośród jasności szerokiego horyzontu, napawając się świeżem, ożywczem powietrzem. Tutaj przynajmniej byliśmy wolni od ciekawych sąsiadów, którzy nas podpatrywali i obmawiali.

Lord oddał nam do rozporządzenia swój powóz i parę koni; tak więc ojciec mój i ja mogliśmy bez trudu objeżdżać majątek, sprawując niezbyt zresztą uciążliwe obowiązki zarządzającego; mała Estera prowadziła gospodarstwo, obecnością swą rozjaśniając stary, ciemny gmach.

Życie nasze płynęło spokojnie i cicho, aż do chwili, gdy pewnej letniej nocy zaszedł nieoczekiwany, drobny na pozór, wypadek, który później wszakże okazał się zwiastunem dalszych, dziwnych, przerażających wydarzeń.

Wieczorami wypływałem zazwyczaj na morze, aby złowić nieco ryb na kolacyę. Owego pamiętnego wieczoru siostra moja udała się ze mną; szliśmy nad brzeg morza skalistem wybrzeżem małej zatoki.

Słońce zaszło za brzeg irlandzki, horyzont, pokryty białymi obłokami, gorzał jeszcze ostatnimi promieniami zachodzącego słońca. Ocean zabarwił się czerwonym blaskiem. Stałem, zapatrzony w dal i z zachwytem przyglądałem się imponującemu widokowi nieba i morza. Nagle siostra schwyciła mnie za rzkę i z okrzykiem zdumienia wyrzekła:

— Spójrz, Johnie, w Cloomber ukazało się światło!

Odwróciłem głowę i spojrzałem na wznoszącą się ponad drzewami białą wieżę. Przyjrzawszy się dobrze, dostrzegłem istotnie wyraźne, chociaż blade światełko w jednem z okien opuszczonego zamku. Nagle światełko znikło, lecz zjawiło się zaraz w innem, wyższem oknie. Świeciło tam czas jakiś, poczem mignęło w oknach dolnego piętra, wreszcie drzewa zasłoniły je przed naszymi oczyma. Widocznem było, że ktoś, niosący lampę, lub świecę, wszedł na górę, a następnie powrócił na dół.

— Kto tam może chodzić? — zauważyłem, zwracając pytanie raczej ku sobie, niż do Estery, gdyż zdziwienie, malujące się na jej twarzy, mówiło mi, że na to pytanie nie mógłbym od niej otrzymać odpowiedzi. — Może komu z Brinksome przyszło do głowy obejrzeć pustą wierzę?

Siostra moja nie zgadzała się ze mną.

— Nikt nie zdecyduje się przekroczyć bramy parku, — rzekła, a przytem, klucze przechowywane są u zarządzającego w Wichtowne. Tak więc nikt nie zdołałby dostać się do Cloomber.

Pomyśławszy o ciężkiej, masywnej bramie broniącej wstępu do Cloomber-Hallu, musiałem siostrze przyznać słuszność. Oczywiście, ten, co o tej porze dostał się do opuszczonego domu, albo otrzymał klucze, albo też wszedł tam podstępem.

Ta mała tajemnica zaintrygowała mnie nad wszelki wyraz; dopływając do brzegu, postanowiłem samemu zbadać kto, i z jakimi zamiarami zdecydował się przekroczyć próg pustego domu. Zostawiwszy więc Esterę w domu, wezwałem Jamsona, byłego majtka wojennego statku, a obecnie jednego z najlepszych rybaków i udałem się do Cloomber. Słońce zatonęło już w morzu i coraz głębszy mrok zalegał ziemię, aż wreszcie ogarnęły nas nieprzeniknione ciemności.

— Nie dobrze jest po nocy chodzić do tego domu, — zauważył mój towarzysz i zaczął iść zwolna, niechętnie; nie bez przyczyny zamek stoi pusty, a nawet sam właściciel nigdy nie podchodzi tu bliżej, jak na odległość mili.

— A jednak, mimo to, ktoś nie zawahał się wejść tam, — rzekłem, wskazując ręką na wielki budynek, bielejący przed nami.

Światło, które widziałem z morza, poruszało się jeszcze migając przez okna dolnego piętra; łatwo je było dostrzedz, okiennice bowiem były otwarte. Teraz zauważyłem, że drugie, słabsze światełko poruszało się o kilka kroków za pierwszem. Widocznie było tu dwóch ludzi, jeden z lampą, drugi ze świecą.

— A niech tam, — rzekł Jamson, zatrzymując się nagle. — Co nam do tego, jeżeli złe duchy lub też inne twory nieczyste zamyśliły odwiedzić Cloomber. Niedobrze jest wtrącać się w takie sprawy.

— Ależ, — zawołałem, — czyż sądzicie, że złe duchy przyjeżdżałyby w powozie? Popatrz no, cóż to za dwa światełka widać tam u wrót parku?

— A prawda, przecież to latarnie powozowe, — zauważył mój towarzysz, raźniejszym już głosem. — Chodźmy, mr. West, zobaczymy, co się tam dzieje.

Było już zupełnie ciemno; na zachodzie jedynie widoczna była blada jasność, zaledwie odbijająca się od ciemnego nieba. Potykając się na nierównym gruncie, doszliśmy do kamiennych słupów, stojących przy wjeździe do alei. (C. d. n.).



— Spójrz Johnie, w Cloomber ukazało się światło!

HUMOR i SATYRA.

To i owo.

Załoga pociągu pancernego „P e p e t r ó j k a“ nosiła w pierwszych początkach wojny ukraińskiej na lewem ramieniu białe opaski, z czerwonemi literami: „P. P. 3“. Jeśli się jednak ktoś dokładniej nie przyjrzał, wyglądało to jak „P. P. S.“ I oto raz jakaś poczciwa babuleńka przygląda się takiemu „pancernikowi“ z opaską i załamując ręce, woła:

Biedny, taki młody, a już... socyalista...

* * *

— Jakżesz się synowi pani powodzi na scenie?

— Bardzo dobrze. Przedtem grał tylko trupów — teraz gra już i duchy.

* * *

— Kocham panią!

— Jakie to piękne!

— Ale jestem biedny.

— Jakie to romantyczne!

— Jednak ośmielam się prosić panią o rękę.

— O! jakie to niedorzeczne!!!

Na dobie.

Spotkał się raz z bandytą gdzieś drugi bandyta,
I gdy o zdrowieńko najuprzejmiej pyta,
Tamten rzekł: „Oj, zadziwia mnie ton twojej mowy:
Kto, jak ty, lecz bandyta zawsze w Polsce zdrowy.

Konferencya pokojowa w r. 1930.

(Wyjątek z historyi powszechnej).

Dwadzieścia lat już minęło od pokoju Wersalskiego, a Rada Czterech wciąż jeszcze obradowała w Paryżu w niezmienionym składzie. Wysłano do tego czasu 1450 misyj, podpisano 110 preliminarzy pokojowych, a 3.000 umów dodatkowych, zarządzono 50 plebiscytów i 43 okupacyi wojskowych. Clemencau stracił ostatnie zęby i z powodu nadwyrężonego słuchu, posługiwał się trąbką Morgentau'a, Lloyd George wyłysiał do reszty. Sonnino z powodu podagry w nogach przyjeżdżał do sali na wózku, a Wilson dostał bolesnych nagniotków na siedzeniu. A Polska wciąż jeszcze nie miała granic, choć zwycięzkie jej wojska po wytępieniu bolszewików stały pod Uralem.



Nauczycielka. Co to jest las dziewiczy?

Uczennica. Jest to taki las, gdzie ręka ludzka, nigdy jeszcze nogą nie postała.

W PODRÓŻY.

— Patrz, żonusiu, jakie to piękne te ruiny starożytne.

— Ach, tak... ale to dziwne doprawdy...

— Co takiego?

— Dziwne, że w starożytności budowano ruiny, zamiast całych domów.

* * *

PRZY FORTEPIANIE.

— No, no! Ty, taki nieprzyjaciel fortepianu, przewracałeś przed chwilą nuty pannie Eulalii.

— A cóż chcesz? nie mogłem przecież przewrócić fortepianu!...

* * *

PRZED ŚLUBEM PRZY EGZAMINIE W PARAFII.

K s i ą d z p r o b o s z c z. Więc teraz, Wojciechu, do jakiego sakramentu się przysposabiasz? no namyśl się dobrze... żenisz się przecie, więc do mał... mał...

W o j c i e c h. Już wiem, proszę jegomości, do Małgorzaty.

W SKŁADZIE RYB.

G o s p o s i a. Moja kupcowo, mnie się zdaje, że tę rybę czuć.

K u p c o w a. Niech sze pani nie boi; to nie rybę... to mnie.

Przed klatką z małpami.

Raz urzędnik warszawski,
Pragnąc użyć feryi,
Po zamknięciu urzędu
Wszedł do menażeryi.

Nie zachwycał się żebrą,
Słoniem ani lwami,
Lecz zatrzymał się dłużej
Przed klatką z małpami.

Różne słodkie łakocie
Dzielił z małpim ludkiem
A gdy miał już odchodzić,
Wyszeptał ze smutkiem:

Czemuż małpą nie jestem,
Członkiem małpiej sfery
Mam dwie ręce do brania,
A miałbym ich cztery.

Nemo.

Redaktor odpowiedzialny: Marya Jadwiga Migowa. Wydawca: Wacław Grabiański.
Drukarnia „Głosu Narodu“ w Krakowie, ul. św. Tomasza 35.